

# Beczka śmiechu

Dla higieny psychicznej niezbędne jest powiedzieć sobie od czasu do czasu, że życie jest śmieszne. — że my sami, zatwardziałe pepki świata... — no cóż, jest się z czego pośmiać. Wystarczy stanąć obok i patrzeć na siebie tak, jak umiemy przyglądać się innym. Trudna to sztuka, szczerzy, wesoły śmiech, ale organizmowi potrzebna jest odświeżająca kąpiel.

Eugène Labiche, autor sztuki „Nadawca 2114”, której polska prapremiera odbyła się w grudniu na scenie Teatru im. L. Kruczkowskiego w Zielonej Górze, dostał się był ongiś do Akademii Francuskiej, w poczet czterdziestu Nieśmiertelnych, właśnie za tę „higieniczną” działalność, jako dramato-pisarz odznaczający się niezwykłą umiejętnością pobudzania widzów do śmiechu. Jest to śmiech ze wszystkiego i wbrew wszystkiemu. Mniejsza o moralność, o porządek społeczny, mniejsza o zdrowy rozsądek — zdaje się mówić Labiche i nie fatyguje się, by oceniać postępowanie swoich bohaterów na przykład w kategoriach moralności, z którą chronicznie są na bakier, by zdzierać maski, smagać satyrę, walczyć, kruszyć kopie. Nic z tych rzeczy, Labiche się śmieje i chce, żeby publiczność śmiała się do rozpuku. Temu laskotaniu służy od stu lat talent farsopisa i wodewiliści, lśniący do dziś blaskiem szczególnego kunsztu. Sztukami Labiche’a rządzi w teatrze wyłącznie żywioł śmiechu. Każdy szczegół, słowo, gest, sytuacja skrzy się dowcipem i wywołuje w nas reakcję jednoznaczną i bez troską. Bawimy się, nie bardzo nawet wiedząc, co nas tak bawi.

Niektórzy współcześni mieli Labiche’owi za złe tę jednostronność spojrzenia, odmawiali jego sztuce szlachetności i protestowali przeciw zaliczeniu go w poczet Akademików. Może zresztą te pretensje nie pozbawione były słuszności, no bo śmiech śmiechem, a życie nas gniecie.

Nie wdając się z braku miejsca w osądzenie ideowej wartości sztuk Labiche’a, sprawiedliwie zauważmy ich długowieczność i ciągłą atrakcyjność. Widać, umiejętność wzbudzania śmiechu jest dziś coraz rzadsza, a potrzeba pochichotania ciągle w ludziach jedna kowa, a może nawet wciąż większa, gdy życie przybiera na powadze i pośpiechu.

Śmiech to zdrowie — mówi stare porzekadło, więc chwalmy Labiche’a. Jego sztukę

„Nadawca 2114” (tytuł oryginału: „Le plus heureux des trois”) w żywym przekładzie i adaptacji Józefa Kelery przedstawił zielonogórski teatr z dużym powodzeniem, choć śmiać by się można było jeszcze więcej, gdyby wszyscy aktorzy pokazali grę mistrzowską.

Treść jest banalna: pospolity trójkąt małżeński, właściwie dwa trójkąty, żeby było śmieszniej. Zdradzany mąż Martadelle (Zdzisław Grudzień), zarozumiały, aż ślepy w swoim zadufkowstwie głupiec, nosi podwójne rogi. Jedne przypawiła mu żona nieboszczka z jego przyjacielem Verdurinem (Włodzimierz Kaniowski), drugie — aktualna małżonka Narcyza (Krystyna Horodyńska) z przyjacielem Ernestem (Czesław Kordus).

Wynikie stąd perypetie przyprowadzone zostały niezrównanym dowcipem autora, aż nabrały pikantnego smaku w każdej sytuacji.

Taki jest Labiche. Niepretensjonalny, lecz i nieprostactki, wyczuwający znakomicie granicę zabawy, za którą jest już wulgarna szarża!

Reżyser przedstawienia Wanda Laskowska także strzegła tej granicy. Jest to zaleta spektaklu, w którym wyczuwa się porządną robotę z aktorami. Widać, że Laskowska знаła ich predyspozycje i możliwości, na tę miarę stawiała zadania. Niestety, nie wszyscy sprościli. Zdaje się, że aktorem komicznym trzeba się po prostu urodzić. Że są obdarzeni vis comica dowiedli znakomicie — Zdzisław Grudzień, Krystyna Horodyńska i Ireneusz Karaman, każde z trojga aktorów zresztą na inny sposób konstruując postać.

Horodyńska przez cały czas gra z dystansem, z pewną nawet nonszalancją, ma świadomość, że rzecz odbywa się na niby. To jej wypróbowana metoda aktorska, w której jednak nie wolno przeciągnąć struny, by nie popaść w nudną sztampe. Horodyńskiej i tym razem się udało.

Martadelle Grudnia, śledziennik i pyszałek, rysowany dyskretnie, szyty cienkimi nićmi — to po prostu cymes. Nad wyraz precyzyjna robota.

Bronergent w wykonaniu Karamona jest rzetelnym, sumiennym chłopcem z Burgundii, co to swój rozum ma. Urzeka świeżością i prostotą, ma w sobie folklorystyczną malowniczość i wdzięk. Jednoznacznie zyskuje sobie sympatię widowni, gdy do reszty, która też nas bawi, mamy stosunek idealnie obojętny.

Malowniczość spektaklu jest zasługą przede wszystkim scenografa Zofii Pietrusińskiej, która dała szampańskiej zabawie ładny kostium i podobne niczym nie zmaczone tło, abstrakcyjne i seledynowe. Bo przecież Labiche jest absurdalnie pogodny.

Z kostiumów najmiłsze są stroje Bronsergenta i Lizetki. Już sam wygląd tych dwojga rośmieszca.

Ładna, a niezbyt bystra Lizetka — Barbary Jędraszak, to postać sympatyczna i pełna uroku. Zauważyłam, że gest i mimika są aktorce całkowiec posłuszne, słowo natomiast czasem brzmi głucho.

Zalotnicy — Kordus i Kaniowski nie dali rady Labiche’owi, choć Kordus się starał. Bolesławie Fafińskiej, jako służącej Petunii właściwie nie potrafię nic zarzucić, ale z większą przyjemnością oglądam ją w innym repertuarze.

Anna Korzeniecka jako Ernestynka odznaczyła się tym, że ładnie poruszała się po scenie.

Huragan śmiechu na widowni, a potem pogodne twarze niektórych znanych raczej z kwaśnego samopoczucia znajomych przekonały mnie, że takie pozycje jak sztuka Labiche’a są w repertuarze zielonogórskiego teatru nieodzowne.

HENRYKA DOBOSZOWA